Nr. 22. Warszawa, dnia 17 (29) Maja) 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w Warszawie w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w Poznaniu u Leitgebera; we Lwowie u Wilda Karola; w Żytomierzu u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

NASZE GRZECHY.

Społeczeństwu służą tylko rozumni i uczciwi.

Naród, podobnie jak każdy żyjący organizm powstaje i rozwija się w pewnem miejscu i czasie, przechodzi epoki dzieciństwa i dojrzałości, stany czuwania i snu, zdrowia i choroby, zmienia swoje formy i cząstki składowe, lub wreszcie,— dzięki własnéj niemocy i zewnętrznym okolicznościom,—umiera.

Gdzie zwiększa się ludność, wzrasta dobrobyt i oświata, doskonalą stosunki w sposób korzystny dla wszechstronnego rozwoju indywiduów, tam ogół przechodzi epokę czuwania i zupełnego zdrowia. Gdzie kapitały nikną a powstają długi, gdzie słabną węzły łączące ludzi w jedną całość, gdzie nie ma prac samodzielnych w nauce i przemyśle, gdzie do klas izolowanych i wzajemnie sobie niechętnych wdzierają się cudzoziemskie żywioły,—tam społeczeństwo przechodzi epokę choroby, przemiany, lub zbliża się do ostatecznego upadku.

Każde wstrząśnienie wewnętrzne lub zmiana okoliczności zewnętrznych powodują częściowy rozkład społecznego organizmu: im rozkład silniejszy a organizm słabszy, tem pewniejsza śmierć. Gdy siły są dostatecznie wielkie, społeczeństwo pozbywa się szkodliwych pierwiastków, przyjmuje niekiedy doskonalsze formy i jak motyl powstały z obumarłéj poczwarki wstępuje w nową fazę życia.

Zazwyczaj na chorobliwy stan każdego społeczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne składają się przyczyny. Pierwsze, niezależne od ogółu, ograniczają się na zmienianiu do pewnego stopnia pewnych życiowych objawów, lub na skierowywaniu ich do oznaczonego celu; drugie, tkwiące w samem społeczeństwie, paraliżują w zawiązku wszelki rozwój przyszły, lub z gruntu i bezpowrotnie niszczą to; co dobrego pozostawiła przeszłość.

Nad przyczynami pierwszéj klasy nie mamy się potrzeby rozwodzić. Pomińmy więc to, co dotyka powierzchownych stron życia i co w zastosowaniu do naszego społeczeństwa leży po za obrębem sił naszych, a zajmijmy się natomiast nurtującemi nasze społeczeństwo chorobami, poznaniem ich wewnętrznych przyczyn i środków zaradczych,—o ile takowe od nas samych zależą.

Jak w organizmie pojedynczym brak pokarmu staje się przyczyną osłabienia funkcyi życiowych, tak brak kapitałów jest jedną z głównych przyczyn upadku życia społecznego. Bogactwem są wszystkie środki do zaspokojenia potrzeb służące, w tym razie pieniądz odgrywa rolę **podrzędną**, a surowe i przerobione produkta natury **główną**, — na nieszczęście jednak nasz ogół inaczéj uważa tę kwestyję, w jego oczach bogactwem jest pieniądz,—a któż policzy ile zrobiło nam złego owo fałszywe pojęcie, wraz z nieoglądającym się na przyszłość egoizmem! Olbrzymie, pełne starodrzewu lasy znikły dla kraju na zaspokojenie częstokroć chwilowego kaprysu właścicieli, a na pożytek Niemcom; wszystkie części rolnego gospodarstwa upadły przez niedbalstwo gospodarzy i niesumienność dzierżawców i plenipotentów, — a jakkolwiek w dawnéj „spiżarni Europy“ nie brak dziś jeszcze chleba, przecież niekiedy łatwiej nam o pomarańczę niż o jabłko....

Czy klimat się zmienił, czy ziemia straciła płodność? Bynajmniéj! Klimat i grunt pozostały niezmienne, tylko zmienili się ludzie, potomstwo bowiem traciło w obczyznie bogactwa przez ojców na rodzinnéj ziemi zebrane i dało początek długom, przez które duchowy letarg ziemian wdzięcznej aż dotąd ziemi się udzielił.

Z drugiéj strony, przyjmując od Zachodu nowe potrzeby, zapomnieliśmy o stworzeniu odpowiednich im środków i na zniszczone grunta nowy nałożyliśmy podatek. Nie mamy zamiaru występować przeciw słusznie należącym się człowiekowi wygodom, owszem, cieszymy się nawet z ich rozwoju, —lecz jakkolwiek piękne są fraki z cienkiego sukna, koszule z cienkiego płótna, niech jednak to sukno i to płótno z naszéj wełny i lnu, w naszym też wyrabia się kraju, niech zamiłowanie do wygód klas bogatszych stanie się źródłem utrzymania ubogich krajowców, nie zaś kopalnią dla obcych.

Nie upadek zatem, ale cudowną siłę społeczeństwa podziwiać, — nie okoliczności, ale samych siebie obwiniać należy, gdy mowa o naszéj ekonomicznéj sytuacyi. Kraj zniszczony we wszystkich kierunkach, po upływie jakiego dziesiątka lat, wrócić może do dawnéj zamożności, lecz nie wróci do niéj, gdy zaniedbawszy ziemię, wynajdywać będziemy coraz skuteczniejsze zubożenia jéj

---

ŚLADY ŻYCIA.

VIII.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Zamiejskie wycieczki rozpoczęły się w tym roku wcześniéj niż zwykle i przy wciąż sprzyjającéj pogodzie cieszą się stałem powodzeniem. Szczególniéj w dnie świąteczne kontyngens majówkowych amatorów pomnaża się znakomicie ludnością należącą do klas pracujących w ciągu tygodnia przy kantorach i warsztatach. Każdy pragnie chociaż na chwilę odetchnąć świeżem powietrzem, uwolnić się od miejskiej spiekoty, gwaru, kurzu i dymu. Czy każdy znajduje to czego szuka, to znowu inne pytanie. Nawet ci którzy za integralną część przyjemności uważają opojenie się, a przynajmniéj posilenie mlekiem, miodem lub piwem, częstokroć bywają w swych nadziejach zawiedzeni, jakto mieliśmy sposobność zauważyć podczas ubiegłych Zielonych świątek, w czasie których tak na Bielanach, jak i na Saskiéj Kępie, zabrakło wielu pokarmów i niektórych napojów. Najgłówniejszą przyczyną niedogodności towarzyszących zarogatkowym exkursyjom jest zdaniem naszém, przeludnienie. Gdyby cała ludność warszawska nie gromadziła się wyłącznie w kilku, siłą zwyczaju uprzywilejowanych miejscowościach, wtedy byłoby i luźniej i przestronniéj, jedném słowem swobodniéj; a nadto wszelkiego rodzaju entreprenerzy przyjemnostek, głównie zaś dostawcy jedzeń i napojów przez wzajemną konkurencyję dbaliby więcéj o publiczność, uwzględniając jej słuszne wymagania. Mając na myśli powyższe względy na początek proponowalibyśmy urządzanie wycieczek na dystansie drogi Terespolskiej, gdzie lesista miejscowość pierwszéj i drugiéj stacyi (Miłosna i Mińsk) przedstawia bardzo przyjazne warunki, tym więcéj, że pociągi osobowe są pod względem czasu dosyć dogodnie rozłożone. Szczególniej ci; którzy zadawalając się wziętym z domu posiłkiem i mniej dbając o karuzele i djabelskie młyny pragną jedynie powietrza, cienia drzew i swobody, mieliby w miejscu o którém mowa, prawdziwie przyjemną majówkę. Amatorowie więcéj urozmaiconych przygód mogliby znowu wskrzesić dawną świetność publicznych zebrań w okolicach za rogatkami Ząbkowskiemi położonych, a to wszystko w tym celu, żeby rozstrzeliwszy się na liczniejsze promienie, nie następować sobie na pięty i nie być zmuszonym do wywalczania każdéj stopy ziemi.

* * *

W ostatnim zeszycie „Ekonomisty" (Zeszyt IV za m. Kwiecień) p. Andrzéj Krigier z Rzucowa, podaje projekt stowarzyszenia producentów żelaza w gubernii Radomskiéj, Kieleckiéj i Piotrkowskiéj. W motywach tego projektu, powołując się na dokładne autentyczne cyfry, zaznacza, iż w naszych okręgach górniczych ilość zużywanego materyjału opałowego na centnar wyrobionej surowizny lub żelaza w każdym zakładzie jest inną, a to bez względu na tożsamość warunków procentowości rudy. Podobnież przy wyrobie żelaza gotowego z surowizny, jedne zakłady potrzebują na centnar żelaza więcéj, a drugie mniéj, takiéj samej surowizny. Te nie dające się racyjonalnie usprawiedliwić różnice zależą od mniéj lub więcéj wadliwej konstrukcyi pieców, od względnéj umiejętności fabry-

sposoby, trwoniąc nietylko własne siły przez próżniactwo, lecz i zasoby ogólne przez marnotrawstwo.

Z ekonomicznego—przechodząc na duchowe pole, łatwo poznamy, że tam jest właściwe źródło naszych nieszczęść. I rzeczywiście, —czy mógł podnosić gospodarstwo, myśléć o obowiązkach względem ogółu i przyszłości, człowiek, nie mający pojęcia o naukach przyrodzonych, nie wiedzący o istnieniu nauk społecznych? Fabryki również wymagają specyjalnych wiadomości, handel i rzemiosła nadewszystko uznania wartości pracy, a ponieważ kwestyje te były nam obce i wstrętne, więc też po dziś dzień jedne leżą odłogiem, inne przeszły do obcych i niewiadomo nawet czy i kiedy powrócą do nas.

Smutna to rzecz przyznawać się do własnych win i występków, których małą zaledwie wypowiedzieliśmy tutaj cząstkę, a które tak chętnie przypisujemy wpływowi innych, —lecz trudno: chcąc złe poprawić musimy je poznać i przyczyny jego wymienić, inaczéj bowiem nie wyjdziemy z przepaści, w którą nas grzechy własne i dawniejszych pokoleń wepchnęły. Zamykanie oczu przed ogniem gdy ten już pali, oszczędzanie się wzajemne gdy nas już nikt nie oszczędza, byłoby cechą niedojrzałości lub zgrzybiałości; aby więc jednego i drugiego uniknąć zarzutu lepiej otwarcie powiedzmy, że: wszystkich nieszczęść naszych my najpierwszą jesteśmy przyczyną. My niegdyś nie umieliśmy korzystać z okoliczności dających nam nieznaną w świecie potęgę, my nieprzezornością i brakiem taktu przygotowaliśmy sobie nieprzyjaciół zewnętrznych, nasze niedbalstwo oddawało i oddaje Niemcom miejscowy przemysł i rolnictwo,—słowem zawsze i wszędzie największemi naszemi nieprzyjaciołmi sami jesteśmy. I jeżeli tak daléj pójdzie, jeżeli nie spojrzymy w siebie i w około siebie i nie pomyślemy o środkach zaradczych, to w niedalekiéj przyszłości spotkają nas hańba i zagłada.

Wspomnieliśmy o środkach zaradczych, lecz jakież są owe środki?

Jak dla chorób naszych dwa rodzaje przyczyn istnieją, tak muszą być dwa rodzaje lekarstwa—**zewnętrzne i wewnętrzne**; że zaś kategoryja przyczyn wewnętrznych okazała się ważniejszą, więc i na drugi rodzaj lekarstw główną, jeżeli nie wyłączną zwrócić musimy uwagę.

Łatwo pojąć, że jedną z przyczyn klęsk które nas dotknęły, był brak harmonii między siłami i zamiarami, — a straszny to błąd nie wiedzieć o własnéj słabości, ciężko też pokutujemy za niego. Dziś więc nauczeni doświadczeniem zmieńmy system, ograniczając plany i prace nasze do szczupłego koła codziennych stosunków. Według ogólnego porządku natury, silni tylko mają głos i wpływy, a niezrozumienie tego prawa, wdzieranie się na wyniosłe stanowiska bez odpowiednich kwalifikacyj, wzbudzić może śmiech i pogardę,—podczas gdy mężne pogodzenie się z losem przynajmniéj godność naszą ocali.

Tak tedy pokorni w obec samych siebie, zrezygnowani w obec konieczności, zajmijmy się spłacaniem długów, oszczędnościami, podnoszeniem rolnictwa i przemysłu, ścieśnianiem rodzinnych i towarzyskich węzłów, zwiększaniem liczby małżeństw, zmniejszaniem śmiertelności dzieci, wspomaganiem nieszczęśliwych, rozszerzaniem zdrowéj oświaty i moralności. Przy pracy téj niejeden ogromny majątek wypadnie podzielić na drobniejsze, niejeden frak zamienić na kapotę, herb na szyld, pióro na młotek i łokieć, wielu rzeczy sobie odmawiać, wielu zapominać, a najwięcéj się uczyć i uczyć!... Lecz za to, mając rozum i dostatek łatwiéj będziem mogli dotrzymywać zobowiązań, pieniędzmi i radą wspierać potrzebujących, dźwigać ciężary społeczne. Z drugiéj znowu strony zahartowani w pracy, obeznani z wymaganiami praktycznego życia, zbliżeni pomiędzy sobą,—łatwiéj oprzemy się złudzeniom, a wytrwaléj i pewniéj zdobywać będziemy cele do osiągnięcia możliwe, spokojni o naszą własną i naszego potomstwa przyszłość.

O innéj jeszcze niesłychanéj dla nas wagi reformie pomyśleć należy, oto, o powstrzymaniu kosmopolitycznéj powodzi w naszéj literaturze. W zdrowem społeczeństwie życiowy prąd wypływa z warstw najniższych i najliczniejszych, wznosi się do wyższych, przyjmuje tam odżywcze pierwiastki wiedzy i obyczajowości i zwraca się na dół, aby swoje źródło nowym nabytkiem zasilić i uszlachetnić. U nas niesłychać nawet o podobnem krążeniu. Poeci naprzykład i powieściopisarze nie studyjują naszego wiejskiego i miejskiego społeczeństwa, muzycy ludowych pieśni, lecz jedni i drudzy na zachodzie czerpią natchnienie, a w skutek tego, ukształcony nasz ogół większą połowę życia oddanego czytaniu w obcéj przepędza sferze i pieśń salonu nie ma najmniejszéj wspólności z pieśnią jaką na polu i w chacie usłyszeć można. A gdzież są tanie i przystępne opisy miejscowych zwierząt, roślin i minerałów, rozprawy o kwestyjach nasze społeczeństwo obchodzących? Nie ma ich, ale są za to opisy krajów obcych, rozprawy o emancypacyi kobiet na sposób zagraniczny, studyja nad Ameryką i Australiją i t. p. Wprawdzie żadne społeczeństwo nie może się izolować, każde w imię postępu musi coś przyjąć od bliższych i dalszych sąsiadów, lecz tak kolosalne pochłanianie obczyzny z krzywdą swojskich pierwiastków nie jest postępem ale trawiącą gorączką, i jeżeli daléj tak pójdzie, to w końcu staniemy się Niemcami, Francuzami, Anglikami i t. d. którzy tutaj raczyli się urodzić i polskiego używać języka. Poznajmy więc jak najrychléj tę wadę naszą i silnych przeciw niej użyjmy środków, bo jest źle, choć krańcowi postępowcy zapewniają nas, że jest bardzo dobrze!...

W ten sposób przechodząc z manowców na drogę właściwą, zapewniając stanowczą przewagę żywiołom miejscowym nad obcemi, pozbywajmy się jednocześnie zarozumiałości i nienawiści, cnota bowiem i zasługa gdziekolwiek jest, wszędzie jest godną szacunku, bez względu na okolice świata. Dla tego też wprawiajmy się w oddawanie słuszności każdemu, na swoje przedewszystkiem wady pilne zwracając oko, i pamiętajmy, że tylko zachowawczość obok postępu, miłość wszystkich ludzi obok polegania na własnych wyłącznie siłach, pokora w duchu obok zachowania godności charakteru, — zrobią nam to, że przy wszelkiéj nędzy naszéj nie stracimy i bez uszczerbku przekażemy następcom jedyny, najdroższy skarb każdego: honor...

Bolesław Prus

---

kacyi, a najczęściéj od jakości dozoru samych właścicieli i stopnia pilności oficyjalistów. Co do tych ostatnich p. K. uskarża się na ich niskie wykształcenie techniczne, a także na brak sumienności. Wszystkie te niedostatki i wadliwości dadzą się, zdaniem autora projektu, usunąć jedynie przez Stowarzyszenia producentów żelaza. Stowarzyszenie takie miałoby za zadanie: wzajemne komunikowanie sobie rezultatów przy produkcyi i wskazywania środków ich poprawy, wypracowywanie i rozpowszechnianie odpowiednich rozpraw technicznych, kwalifikowanie zdolnych i sumiennych oficyjalistów tak przez podawanie środków takowego wykształcenia, jakoteż drogą udzielania wynagrodzeń i sprawiedliwych świadectw, prócz tego stowarzyszenie wpłynęłoby na polepszenie bytu oficyjalistów i robotników przez założenie instytucyi emerytalnéj i wzajemnéj pomocy; nakoniec mogłoby załatwiać polubownie spory pomiędzy pojedynczemi członkami zdarzać się mogące, a także zająć się ułożeniem dokładnéj karty geognostycznéj. Szczegółowo przez p. Krigera proponowany skład stowarzyszenia mógłby z łatwością podołać tym zadaniom, dodamy tylko z naszéj strony, iż trzeba przedewszystkiem, aby producenci w imieniu własnego interesu chcieli wyjść z granic ciasnéj emulacyi, która w żaden sposób nie da się pogodzić np. z wzajemném komunikowaniem sobie ulepszeń w sposobach produkcyi—p. K. znany ze swéj energicznej działalności na polu przemysłowem tamtéj okolicy zapewne dokładniéj niż ktokolwiek jest wtajemniczonym we wszystkie przeszkody płynące z niejasnych pojęć i apatyi pp. producentów, nie zrażając się jednak niemi uprasza kompetentne interesowane osoby o udzielenie uwag i spostrzeżeń posłużyć mogących do obszerniejszego rozwinięcia i udokładnienia projektu. Byłoby do życzenia aby pisma czasowe silnie poruszyły tę ważną kwestyję.

* * *

Podaliśmy już (w Nr 16) statystykę biblijograficzną poczerpniętą z pisma „Na dziś.” Ale tam uwzględniono tylko publikacyje które wyszły osobno a zamilczano zupełnio o tych które ukazały się w szpaltach czasopism. Podejmujemy obecnie jeden z działów a mianowicie utwory powieściowe ograniczając się tylko w zakresie *Królestwa*. Otóż w roku 1871 wszystkich powieści większych i mniejszych zarówno w czasopismach jak i oso bno ukazało się 69: z téj cyfry na przekłady wypada 36 a na prace oryginalne 33. Nie jestto stosunek zbyt rażący zwłaszcza w porównaniu z latami ubiegłemi. W r. np. 1869 powieści oryginalnych było 20 a w 1870 tylko 16. Produkcyja więc krajowa mężnieje, nie może jeszcze atoli zaspokoić potrzebie i stąd też w przekładach nie oglądają się pospolicie za arcydziełami albo przynajmniéj za takiemi utworami, któreby istnienie swoje w naszéj literaturze *koniecznością* tłomaczyły; ale po prostu idzie tylko o zapełnienie szeroko roztwartych a pustych szpalt w czasopismach. W tłomaczeniach tych prym trzymają jak zawsze utwory *francuskie* (13), potem *niemieckiej* (8), *angielskie* (6), *rosyjskie* (6), *hiszpańskie* (1), *szwedzkie* (1), *czeskie* (1 *O świcie* przez *Karolinę Świetlą* czyli *Joannę Menżakową* w Tyg. Rom. i Powieści). Dla samego obeznania się z literaturą powszechną wartoby rozszerzyć zakres branych do przekładu powieści: piśmiennictwa *włoskie*, *węgierskie*, *duńskie*, *amerykańskie*, bardzo mało albo zupełnie prawie u nas nieznane lub zapomniane, tém większą obudzałyby ciekawość, chociażby nawet utwory te przenosić z niemieckiego lub fr u cuskiego tłomaczenia. Literatura francuska, pomimo licznych krzyków, stała się dla nas ekranem zasłaniającym wszystkie inne, chociażby lepsze nawet. Należy ekran ten usunąć i przejrzeć daléj...

* *

Czytamy w Gazecie Polskiej: „Zamieszczo-

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Gniewu nie było w jego wzroku. Zepsuła wszystko, a rzeczywiście raczéj jego miłość wzięła górę nad rozsądkiem i obaliła jego plany, ale gniewać się nie mógł.

— Tak więc przepadła zasadzka — rzekł patrząc na jéj twarz zapłakaną; kilka łez, kilka czułych próśb, zepsuło mądrze ukartowane plany. Kto był słaby i nierozsądny, mąż czy żona?

— O! nie mogę słuchać tego, żem wszystko zepsuła! zawołała z boleścią.

— Cóż więc mam mówić? Ani twój ojciec ani ja nie możemy jéj winy zarzucić, dopóty, dopóki dowodu w ręku nie mamy. Nie byłoby to bezpiecznie, bo doprowadzona do ostateczności mogłaby obalić nasze wyrachowanie. Jéj brat ma jutro pisać do pewnego mieszkańca Saint-Vincent, a ja list ten mogę otrzymać jeżeli nie okażę, iż mi bardzo o to chodzi. Ale niech tylko ona wpadnie na ten trop, a list ów na zawsze dla mnie przepadnie. Dopóki go nie mam, jestem na jéj łasce; nie wie wprawdzie wszystkiego, ale i tak wie za dużo. Może po całem Saint-Vincent rozpuścić wiadomość, że ciężyło na mnie podejrzenie o różne występki, — a ja nie będę mógł zaprzeczyć temu. W tem leży moja słabość a jéj siła. A tu ją wszystko pcha do ostateczności. Wie że jesteś moją żoną i że dom ten do nas należy. Domyśla się że jéj mąż ubogi—i może teraz posunąć się do wyrządzenia nam wszelkiéj szkody, na jaką tylko zdobyć się będzie mogła. Dobrze więc — ponieważ popełniłem ten nierozsądek, wszedłem do twojego pokoju i oddałem nas oboje w jéj rękę, muszę przyjąć winę na siebie.

— Ale nie gniewasz się na mnie? — zapytała znowu.

— Gniewać? na ciebie, moje dziecię, która podasz ofiarę tego wszystkiego? Nie, Sybillo, nigdy. Tylko przygotuj się na zmartwienie i upokorzenie, bo nas pewno nie minie ani jedno ani drugie. Otóż ojciec mnie woła—dobranoc.

Dotknął ustami jéj czoła i odszedł. Sybilla padła na kolana i płakała prawie noc całą.

ROZDZIAŁ XXI.

Wściekły gniew panował w sercu pani Kennedy, a zazdrość w sercu jéj męża; Sybilla siedziała smutna w swoim pokoju, a Dermot palił cygara w klasztornéj galeryi; z tem wszystkiem jednak był to dzień wyznaczony na próbę koncertu, i nie można było ani myśleć o odłożeniu tak ważnego społecznego obowiązku. Zaraz więc rano pani Kennedy wyszła do Saint-Vincent. Powiedziała służącéj że musi iść do pasztetnika i wydać mu ostateczne rozporządzenia. Mimo tak ważnéj pobudki, Kennedy zapewne byłby się sprzeciwił owéj zbyt rannéj wycieczce, gdyby był o niéj wiedział zawczasu. Ale sam także wychodził, i spotkał żonę na ganku dopiero gdy wracała.

— Mogęż wiedzieć co panią tak rano z domu wywiodło? zapytał szorstkim tonem.

— Chodziłam do pasztetnika, mój kochany—odpowiedziała z uśmiechem.

Zdawało się jakoby burza nocna nie pozostawiła na jéj umyśle żadnego śladu. Wyglądała tak szczęśliwie i wesoło jak zwykle. Mąż wprawdzie uśmiechnął się także, ale jéj nie wierzył. Weszli do domu razem i rozstali się w sieni. Kennedy udał się do swego pokoju, jego żona na górę dla naradzenia się z Elżbietą.

— Jakże ja się dziś ubiorę?—rzekła zakłopotana.—Sprzykrzył mi się kolor niebieski—zresztą tu tylko próba, ja będę w domu i nie wypada mi się bardzo stroić, prawda?

Gdy pani Kennedy mówiła że jéj się sprzykrzył kolor niebieski, to na pewno liczyć było można, że życzyła sobie być biało ubraną. Elżbieta więc zaproponowała jéj lekką białą jedwabną suknię, jako najwłaściwszą.

— Tak, ale trzeba odjąć garnirowanie. Muszę w zupełnie gładkiéj sukni wystąpić.

Odjęcie garnirowania bez uszkodzenia sukni wymagało dużego czasu i cierpliwości; więc pani i sługa, zabrały się do téj roboty. Już ją prawie ukończyły, gdy jakieś głosy w sieni zwróciły baczną uwagę pani Kennedy. Wstała, wyszła z pokoju, oparła się o poręcz schodów i zaczęła słuchać. Doszedł jéj ucha odgłos ciężkich jakichś kroków i przenikliwy głos Denizy.

— Trzeba żeby pan sam poświadczył w książce—rzekł głos męzki.

— A ja powiadam, że pan zajęty. Proszę przyjść innym razem.

Posłaniec zaklął się że drugi raz nie przyjdzie.

— A cóż jest takiego w téj szkatułce?

— Umie panna czytać? Gazety podobno; tak, oto napisano że gazety. Dziwna rzecz żeby przesyłać gazety w taki sposób!

Więcéj nie słyszała pani Kennedy, bo do rozmowy przyłączył się głos jéj małżonka. Nachyliwszy się przez poręcz, ujrzała jak poprowadził posłańca do swego gabinetu. Niebyło czego czekać, wróciła do swego zajęcia, ale bardzo zamyślona. Po co mężowi przysłano te gazety?

Kennedy zapłaciwszy i odesławszy posłańca, otworzył szkatułkę kluczykiem, który wraz z nią odebrał. Pełna była gazet. Wszystko po większéj części już poplamione i podarte numery *Moonagh Herald*, wszystkie z jednéj daty, z artykułem na trzeciéj stronnicy w czwartéj kolumnie zatytułowanym: „Ostatnie szczegóły,“ a który bardzo dobrze był znany panu Kennedy. Z jakąż nienawiścią spoglądał na te papierzyska, oblane piwem szynkowni, zatłuszczone palcami gawiedzi a kosztujące go drożéj niż dyjamenty, które kupił żonie. Zadawał sobie pytanie, czy mógł ufać agentowi, który mu je wyzbierał; czy francuzcy urzędnicy komory celnej, nie przeczytali tego artykułu; a nadewszystko pytał, kto był ów tajemniczy nieprzyjaciel, który go swojem działaniem zmusił do zacierania czarnej plamy życia.

— Mężu — rzekła słodko pani Kennnedy wsuwając przez drzwi głowę — tam cię potrzebują.

Kennedy wrzucił gazety do szkatułki, zamknął ją żwawo i spojrzał na żonę. Spokojność niewinności błyszczała na jego twarzy.

— Kto mnie żąda?

— Pisarz z kantoru.

— Gdzież on?

---

na w Nr 100 naszéj Gazety wiadomość o projekcie założenia w Łęczycy Stowarzyszenia Spożywczo-przemysłowego, oraz uwagi o leniwem krzątaniu się około téj sprawy, — wywołała stamtąd odpowiedź, z któréj dowiadujemy się, że projekt ustawy pomienionego stowarzyszenia pod nazwą *Dźwignia*, został już przygotowany i wkrótce przedstawiony zostanie do zatwierdzenia właściwéj władzy. Zakres działań stowarzyszenia będzie bardzo obszerny: ma ono bowiem przeważnie wynajdywać środki do podźwignięcia gospodarstwa rolnego i przemysłu miejskiego. W Łęczycy otworzy sklep z towarami korzennemi, cukrem, herbatą, wyrobami tytuniowemi, mąką i wszelkiemi artykułami powierzonemi w komis; zaprowadzi składy węgla kamiennego, cementu, asfaltu, laku, smoły, kamiennéj tektury, machin i narzędzi rolniczych, i t. p.; nabędzie lokomobilę dla młócenia zboża podczas kampanii zimowéj i eksploatowania torfu w porze letniéj. Wejdzie z piekarzami i tym podobnemi producentami w umowę o wypiek i odpowiednią przedaż dla stowarzyszonych; przyjmować będzie na skład małe kwoty pieniężne i urządzi rodzaj kasy oszczędności; zawiąże stosunki z Warszawskiem Towarzystwem Wzajemnego Kredytu i Bankami i członkom swoim otworzy kredyt. Rzemieślnikom zdolnym, pracowitym, a ubogim, będzie udzielać pożyczki spłacane sposobem amortyzacyjnym. Wreszcie część czystego zysku obróci na utworzenie biblioteki.”

* * *

Wszyscy wiemy bardzo dobrze jak fatalnie mówią po polsku żydzi, nawet ci, którzy do wyższego wykształcenia roszczą sobie pretensyję. Jestto fakt, z którego śmiejemy się zawsze a niekiedy ubolewamy nad tém nieznośnem przekręcaniem wyrazów i składni języka. Starania atoli nasze o zaradzenie temu równają się zeru. Nie raz nam jeszcze przyjdzie podobno wytknąć tę wadę, któréj skutki, czujemy na sobie codziennie, teraz zwrócimy tylko uwagę, że nawet nie usiłujemy dojść przyczyn, wyradzających wszystkie te pocieszne chociaż nie bardzo pocieszające łamaniny. Tak np. wracając do rozpoczętej kwestyi, fakt sam potępiamy—a nie zastanawiamy się nad okolicznościami, które go do życia powołały. Obowiązek ten wziął na siebie *Izraelita*. W Nr. 18 tego pisma znajdujemy artykulik p. Maryi Natalii p. n. *Słówko o książkach elementarnych*. Autorka porobiwszy kilka dość ostro sformułowanych a słusznych po części zarzutów chrześcijanom, główne źródło to jest nieumiejętności języka widzi w braku elementarzów, któreby umożliwiły naukę czytania dla wszystkich mieszkańców kraju, tymsamym mówiące językiem. Posuwając się jeszcze dalej, pyta z goryczą o książkę przeznaczoną dla wieku młodocianego, któréjby zasady nie raziły religijnych przekonań. „Dla czegoż to dziecko żydowskie, powiada, nie może sięgnąć rączką po książkę wystawioną w sklepie chrześcijańskim, a jak tytuł opiewa przeznaczoną *dla dzieci*, dla dzieci w ogóle? Czyż dziecko żydowskie nie jest także *dzieckiem*?” Przedewszystkiem notujemy fakt. Żydzi sami pragną się zbliżyć, wołają o to publicznie. Jestto rzecz warta zastanowienia. Nie wchodzimy teraz w rozbiór pytania, czy to są tylko głosy odosobnione niemniej jednak nadmienić musimy, że zwrócenie się do ogółu wykształconych chrześcijan z propozycyją zasługuje na szczególniejsze uznanie. Myśl *elementarza bezwyznaniowego* zapewne już nie jednemu przychodziła do głowy, chociaż może z innych pobudek; gdy więc nastręcza się sposobność spożytkowania téj myśli, należy z niéj korzystać skwapliwie. Nie idzie tu przecież o indyferentyzm religijny, jakby się to niektórym gorliwcom wydawać mogło; ale tylko o praktyczne zastosowanie elementarza do obszerniejszego użytku. Tutaj interes materyjalny pojedyńczego wydawcy łączy się najściślej z interesem ogólnym; zdaje się więc, że urzeczywistnienie go nie powinno przedstawiać najmniejszej trudności. Czy żydzi będą kupowali ten elementarz—to pytanie na które odpowiedzieć powinno twierdząco czynném, światłe społeczeństwo żydowskie.

* * *

Wieniec (Nr. 38—40) pomieścił rozprawkę *G. F. Knappa* p. t. *Nowsze poglądy na staty-*

— Wrócił do kantoru—powiedziałam mu że dam znać.

— Zaraz tam pójdę.

Spodziewał się że żona opuści pokój, ale siadła i zaczęła mówić o próbie koncertu. Wstał—ona się nie poruszyła.

— Nie ubierasz się jeszcze? zapytał.

— O, jeszcze czas — mogę się jeszcze przejść z tobą po ogrodzie.

Wyszła z pokoju i stanęła czekając nań przed sienią; jakkolwiek po cichutku to robił, usłyszała że zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

— Okno otwarte — pomyślała sobie pani Kennedy.

Udali się do ogrodu. Dzień był ładny, a pani Kennedy wesoła. Szli razem aż do kantoru; przez całą drogę wesoła żona śmiała się i rozmawiała.

Kennedy jednak był milczący.

— Co ci jest? rzekła z pieszczotą; — takiś pochmurny!—nie mogę ci dozwolić tego—rzekła przysuwając swoją piękną twarz do jego twarzy.

Pocałował ją, zdawał się być bardzo czułym, ale obawa powstrzymuje czułość, a pan Kennedy obawiał się swojéj żony.

— Wróć do domu—rzekł.

— Muszę. Odprowadź mnie trochę.

— Nie mogę, moja droga, mało już mamy czasu. Goście zaczną się schodzić.

— Nudny ten koncert! — rzekła. Przychodźże prędko.

— Jak tylko się załatwię, moje serce.

Odeszła wolnym krokiem, ale jak tylko na zakręcie uliczki znikła mu z widoku, zaczęła biedz prawie. Zamiast przez ogród obrała drogę przez klasztor. Dzień był słoneczny, cichy. Pani Kennedy skradła się jak cień pod sklepionemi galeryjami, aż doszła do otwartego okna mężowskiego gabinetu. Było tylko przymknięte, otworzyła je więc zupełnie i zabierała się do wejścia na framugę, gdy spostrzegła Dermota o mur opartego i spokojnie palącego cygaro. Nie patrzał na nią ale musiał ją widzieć. Co on tu robił? Zapewne stał na warcie podczas nieobecności jéj męża. Zatrzymała się przez chwilę, przypuszczając iż może odejdzie; ale ani się ruszył, musiała więc pani Kennedy zawrócić.

— Niech czatuje—pomyślała z gniewem;— uprzedzę ja go jednak.

Rachowała na to, że Dermot nie będzie tu stał wiecznie i że znajdzie się jaka sposobność nim ranek nadejdzie. Ale jakkolwiek czujna była, nie mogła upatrzyć pory. Dwa razy z panem Kennedym spotkała się przy drzwiach jego gabinetu i za każdą razą jedno przed drugiem wynajdowało jakieś objaśnienia względem intencyi jakie ich tu przywiodły. W istocie pani Kennedy pragnęła zabrać to co się w szkatułce zawierało, a pan Kennedy zniszczyć tę zawartość. Nie śmiał jednak zamknąć się i rozpalić ogień na kominie. Było lato, zdradziłby go płomień i dym; lada chwila goście nadejdą, będzie swobodniejszy po ich odejściu, kiedy wszyscy w domu spać będą. Jak kochanek wygląda cieniów wieczornych, ktore mu dozwolą udać się na miejsce schadzki, tak Kennedy oczekiwał cichéj samotności nocy, tymczasem czujny był na każdy odgłos, na każde poruszenie w domu, a nadewszystko miał żonę na oku.

Pani Kennedy była bardzo zajęta. Postanowiła widać, iż jeżeli to ma być ostatnie jéj wystąpienie jako właścicielki Saint-Vincent, to niech będzie przynajmniej tryumfalne. Tak zwana próba była w istocie świetnym balem. Pani Kennedy okazała wielką troskliwość w doborze zaproszonych gości i zapewne z powodu pięknego głosu pana Dermota, dwa razy zapytywała Denizę, czy nie powrócił; wyszedł bowiem zaraz po dwunastéj.

— Na co go potrzebujesz, Blanko?—zapytał mąż, kładąc jéj rękę na ramieniu.

Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się z goryczą.

— Przecież obecność pana domu jest potrzebną.

— Tak, ale dla czego *tobie* ta obecność tak potrzebna?

— A dla czegóż *tobie* tak niepotrzebna? odpowiedziała pani Kennedy, — przecież to zięć twój!

— A gdzie jest teraz twój brat, Blanko?

Stanęła z wzrokiem osłupiałym, z ustami uchylonemi, blada jak ściana. Nigdy mężowi nie wspominała nic o tym bracie—skądo nim wiedział? Dermot musiał mu mówić, a jeżeli tak, to pytanie jak daleko sięgały jego objaśnienia? Wróciły jéj zwolna kolory, oczy zabłysły.

— Dziękuję za to zajęcie się — rzekła z uśmiechem.— Spodziewam się że mój brat przedstawi się tu niedługo.

— Spodziewam się, że nie będzie miał powodu do tego — odparł małżonek z naciskiem. (*d. c. n.*)

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

II. Oko i mikroskop.

Światło, to czynnik pozwalający człowiekowi zamknąć się w sobie, lub też zawiązać stosunki ze światem. Jest to niewidzialna wstęga, która go wiąże z otoczeniem, lekka, powietrzna droga, po której duch jego przebiega od przedmiotu do przedmiotu. Za pomocą światła tworzy sobie człowiek pojęcie o obszarze wszechświata, światło także ukazuje mu bogactwo i zmienność otaczających go form. Lecz niezadawalniając się tém, co mu natura dobrowolnie wyznaczyła, używa nadto światła, jako telegrafu, przynoszącego wiadomości ze światów niezmiernie od nas odległych, lub też robi je czarodziejem, który, maleńkie, nieujęte okiem pyłki, w olbrzymie kształty przyobleka.

Co jest dziedziną wzroku? — Cały obszar światła, barw i cieniów. Światło, jeżeli je uważamy w niém samém, nie jest ani jasne, ani żółte, ani niebieskie, ani czerwone; światło, jest to ruch lekkiéj, wszędzie obecnéj materyi — eteru, jestto falowanie, które się rozprzestrzenia w eterze, tak, jak fale głosowe w powietrzn. Jeżeli fale te w swoim prostolinijnym biegu napotkają ciało, *nieprzezroczyste*—odbijają się od niego, jak fale od brzegu—przechodzą zaś przez ciała, nazwane *przezroczystemi*—jak fala przez kanał morski. Olej pali się, a podczas swego łączenia się z tlenem, wprawia eter w drganie — świeci; lecz olej się wypalił, a z ciałem: które ginie zagasło też światło. Nieskończone morze eteru, które napełnia wszechświat i rozsyła po nim tysiące tysięcy fal, przecinających się, krzyżujących i wzmacniających w najrozmaitszych kierunkach,—oto materyjalna przyroda światła i kolorów. Kto może powiedzieć, że widział gdziekolwiek to światło, te barwy. Tak?

---

stykę moralności*. Jako praca tłumaczona nie zasługiwałaby ona może na silniejsze zaznaczenie; ze względu atoli, że w naszéj literaturze oryginalne utwory w tym kierunku mogą powstać dopiéro w przyszłości, musimy uwzględniać i przekłady, jeżeli kwestyja sama ma donioślejsze znaczenie. Już przy końcu roku zeszłego *Przegląd Tygodniowy* drukował artykuł przerobiony z broszurki *Gustawa Schmollera* p. t. *Statystyka i Moralność*, gdzie starano się wykazać, że czyny nasze podlegają pewnéj prawidłowości, że jednakże prawidłowość ta nie każe bynajmniéj przypuszczać jakiegoś musu moralnego wywieranego na nas przez prawa konieczności, jakiegoś fatalizmu, który każdemu człowiekowi już przy jego urodzeniu nakreśla drogę postępowania na całe dalsze życie. *Knapp* wychodzi, zdaje się, z tego samego punktu widzenia, stara się tylko przekonać, że statystyka nic nowego w tym względzie nie wypowiedziała, że w kwestyi „wolności woli“ przychodzi o jeden wiek za późno. Jest on zwolennikiem „przyczynowości woli“ t. j. téj zasady, że każdy nasz postępek, każdy czyn jest wypływem pewnych przyczyn, czyli pobudek, skłaniających jednostkę do takiego a nie innego działania. Pobudki te według niego a raczéj według szkoły znanego filozofa *Drobischa*, któréj on jest przedstawicielem, są wewnętrzne a nie zewnętrzne, jak tego chce *Quetelet* i wielka liczba statystyków. „Ilość czynów, obserwowanych w pewnéj ludności w danym zakresie czasu, nie okazuje się *niezależną od „chceń osób pojedyńczo działających, ale jest po prostu summą, a zatém następstwem* czynów dokonanych w pojedyńczych wypadkach z *pobudek wymotywowanych*.“ Cieszymy się, że i u nas teoryja przyczynowości postępków ludzkich w ten sposób coraz bardziéj się rozprzestrzenia, jesteśmy bowiem przekonani, że na tém zyska poznanie człowieka przez siebie samego, pobudzając go do wykrywania w czynach swoich tych czynników, które nań wpływały gotując mu szczęście lub gorycz. Poznawszy siebie dobrze człowiek postara się może wpłynąć na zmianę warunków, wśród których działa, nabierze siły i energii w postępowaniu, wiedząc, że dane przeczyny muszą wywołać dane skutki. Trudno jednakże odrzucić działanie pobudek zewnętrznych, chociażby tylko pośrednie; gdyż właśnie wszystkie nasze popędy powstają naprzód z naszych potrzeb, a powtóre z tych wpływów, jakie okoliczności zewnętrzne na nas wywierają. Zrobiwszy to zastrzeżenie, streszczamy daléj artykuł. Nowe zastosowanie statystyki do moralności widzi Knapp w dziele *Oettingena*, wydanem w Dorpacie 1868 i 1869. Oettingen uważa człowieka za istotę wolną, odpowiedzialną, ale zrośniętą z olbrzymim pniem społeczeństwa tysiącem faktycznych i prawnych stosunków. Zamiast *fizyki socyjalnéj* (Quadetelet) żą on *etyki społecznéj*, która powinna się opierać *tylko* na *empirycznych* danych, dostarczanych przez jéj *statystykę moralności*. Tutaj rola statystyki na tém polega, że owę przyczynowość wewnętrzną określa bliżéj, *ilościowo*, wciągając tym sposobem w sferę mierzenia rzeczy, do których inaczej zbliżyćby się nie było można. My ze swéj strony dodamy, że statystyka wykazuje także wpływ okoliczności zewnętrznych na pobudki wewnętrzne, dowodząc np. że w czasie głodu ilość przestępstw przeciw *własności* jest większa aniżeli przeciw *osobom*. Chwaląc rozsądek i umiarkowanie Knappa w traktowaniu tych drażliwych kwestyj nie możemy pochwalić Wieńca, który uważał za stosowne pozostawić i patryjotyczne *przechwałki* Niemca o wyższości cywilizacyi giermańskiéj nad francuzką....

* * *

W lwowskiém czasopiśmie lekarskiem: *Służba zdrowia publicznego*, znajdujemy następujące szczegóły dotyczące *Towarzystwa lekarskiego w Radomiu*: Już od lat kilku odzywały się tam głosy wykazujące potrzebę stowarzyszenia lekarzy, lecz dopiero w Listopadzie r. z. przystąpiono do jéj urzeczywistnienia. Dr. Rewoliński, inspektor lekarski gub. Radomskiéj, podjął tę myśl, i zajął się gorliwie jej przeprowadzeniem. Gubernija Radomska, zawdzięcza już wiele temu zacnemu mężowi, tak gorliwie zajmującemu się poprawą warunków sanitarnych, powierzonéj mu czę-

mało jesteśmy do tego zdolni, że potrzeba było geniusza największych myślicieli, żeby nam tylko naturę światła odsłonić.

Przez gęste pokrycie winnych liści, do altany przedziera się promień słońca i rozświeca tajemniczy, dobroczynny cień. Myślisz, żeś ujrzał sam promień światła? gdzież tam; to co spostrzegasz jest poprostu szeregiem pyłków, które uniesione lekkim podmuchem, pływają po powietrzu,—ale w żadnym razie nie są to fale, które nieprzerwanym szeregiem, z prędkością 40,000 mil na sekundę po eterze pędzą. Gdyby fizyk mógł odłączyć się od swego ludzkiego ducha i spojrzeć na świat wyłącznie tylko okiem nauki, nicby nie dostrzegł prócz samotnéj, pozbawionéj światła i kolorów masy, przejmującego strachem niezmiernego dzieła stworzenia, w którém tysiące materyj i poruszających je sił tworzą wiecznie zmieniającą się grę. Taki jedynie byłby naukowy, czyli materyjalny widok świata.

Lecz rzućmy teraz okiem na piękno strony odwrotnej. Pierzchły już cienie nocy; ożywczy promień porannego słońca, drży na oddalonych wierzchołkach. Zielone łąki zabłysły żywiéj, oblane światłem z niebios. Tu kwiat otwiera swoją różnobarwną koronę na przyjęcie upragnionego, życiodawczego pierwiastku, tam trzepocze się w błękitnym przestworze rozbudzony ptaszek; — o tęczowych kolorach motylek buja igrając z piękną różą, a na ciemnym mchu żywo się porusza szmaragdowy chrząszcz, starając się uśmierzyć pragnienie kroplami dyjamentowej rosy. Cały pełny, piękny ten świat, światła i blasku, farb i kształtów rozpościera się przed nami; każde poruszenie jest życiem, jest pięknością, jest pięknem w swojej swobodzie.

Lecz czémże jest to widzenie? Nie jest to spostrzeganie tego, co się zewnątrz człowieka w istocie znajduje. Jest to czarodziejska fantasmagoryja, którą sobie sam duch wytwarza, a która tylko cudownym sposobem wiąże się z tem, co się zewnątrz niego znajduje i to tak że duch o tej rzeczywistości nic nie wie.

Gdy zielony liść na wiosnę napełnia nas radosną nadzieją, gdy jesienny, żółty, opadający liść przejmuje nas smutkiem, wtedy *dla nas* liść jest zielony lub żółty, a w tych kolorach mieści się ich moralne znaczenie, lecz, dla siebie samego, dla drzewa w którem wyrósł, dla ziemi, na którą pada, jednem słowem, dla całej materyjalnej przyrody, liść nie ma koloru — materyja, którą w sobie zawiera, odbijała tylko pewne fale światła, które dostawały się do naszego oka; w jesieni materyja liścia utraciła kilka atomów, tlenu i też same fale światła przechodzą teraz przezeń bez przeszkody, podczas gdy fale innego gatunku zostają odbite. Zatrzymajmy się jeszcze chwilkę na tym przykładzie. Połóżmy świeży zielony liść na języku, i skosztujmy go potem powtórnie w jesieni, smak nam zaraz pokaże różnicę co do chemicznej natury obu stanów, jednakże tym sposobem nie utworzyło się w nas żadne pojęcie o kolorze. Pokruszmy nad uchem świeży i suchy liść, z rozmaitego szmeru poznamy, że liść jest pozbawiony wody, lecz nic nam przytem nie mówi, żeby światło miało być inaczej odbite przez liść świeży, niż przez suchy. Jednem słowem, przekonywamy się, że każdy z naszych zmysłów jest czuły tylko na pewne, oznaczone zewnętrzne wpływy i że pobudzenie każdego zmysłu wywołuje w duszy naszéj zupełnie odmienne wyobrażenia.

Tak więc pomiędzy bezdusznym światem zewnętrznym, który nam nauka otwiera i dostępnym czyni, a pięknym światem duchowego życia, zmysły są pośrednikami. One to wprzód odbierają wrażenia, one przesyłają pobudzenia duchowi, a podług tych wskazówek, tych pobudzeń, duch tworzy sobie kolory i kształty do obrazu świata. Zbadajmy tylko istotę tych organów: — mądrą budowę kości tak silnych a zarazem tak ruchomych, mocny mięsień który kurcząc się porusza cały ten gmach kostny, serce z jego rozlicznemi rurkami, żyłami, tę po mistrzowsku obysłaną pompę, która pędzi na wszystkie strony ożywczą ciecz-krew, cały zawikłany ustrój kryjówek i kanałów do których przyjęte substancyje pożywne, ulegają rozlicznym rozkładom chemicznym, i tworząc nowe związki: tu mieszają się ze krwią, tam jako nieużyteczne zostają wydalone, mnogie nitki i błony które wszystkie części ze sobą łączą, które pokrywają całość i zaokrąglają w kształt ludzki—wszystkie one nie są tem czém się być wydają.

Żadna ich cząstka nie dosięga dziedziny ducha. Ale przez te wszystkie utwory przechodzą przenikające je delikatne nitki, *włókna nerwowe*, które z jednéj strony, rozbiegają się do wszystkich tych części, z drugiéj koncentrują się w jednym punkcie w mózgu. Te to nitki pobudzone ruchami i zmianami świata zewnętrznego, przenoszą pobudzenie do mózgu; lecz mózg jest właśnie owem tajemniczém miejscem w którém się styka zmysłowość z umysłowością. Każda zmiana w mózgu wywołuje natychmiastową zmianę w grze naszych wyobrażeń; każdéj myśli skierowanéj ku światu otaczającemu, towarzyszy jednoczesna zmiana w mózgu. Zmianę tę nitki nerwowe, jakby posłańcy, przenoszą do organów, które wolą chce poruszyć.

Nerwy zatém są prawdziwą istotą każdego zmysłu, w nich powinniśmy szukać organu pośredniczącego między światem zewnętrznym i wewnętrznym. Należy zbadać prawa ich działania, jeżeli chcemy poznać nasz związek ze światem materyjalnym.

Tylko na dwie okoliczności musimy tu zwrócić uwagę czytelników. Dziwny jest stosunek pana, do jego służących. Pan—duch tłumaczy wszystko, co mu słudzy—nerwy donoszą na swój język, a ma dla każdego z nich inny. Niech włókna nerwu wzrokowego zostaną pobudzone wjakikolwiek sposób i niech je pobudzą fale światła, niech je naciśnie palec, poruszy przepełniona arteryja, wstrząśnie iskra elektryczna, duch przetłumaczy wszystkie te różnorodne wrażenia na jeden język: światła i kolorów. Kiedy rozburzona krew przepełniając arteryje ciśnie na nerwy, wtedy czujemy ból w palcach, słyszymy szum w uszach, widzimy błyskawicę w obu. Tu mamy wyraźny dowód, że wyobrażenia są wolnemi utworami naszego ducha, że nie pojmujemy zewnętrznego świata takim, jakim jest, lecz jego wpływ jest pobudką do pewnéj, właściwéj, duchowéj działalności, któréj owoce znajdują się często w pewnym prawidłowym związku ze światem zewnętrznym, często jednak nie mają z nim żadnéj styczności. Przyciskamy nasze oko i widzimy przed sobą świecący krzyż, a przecież nie ma tam żadnego świecącego ciała. Łatwo można zauważyć jakie to bogate a zarazem niebezpieczne źródło błędu stąd wypływa. Od fantastycznych kształtów oświeconego promieniami księżyca, mglistego krajobrazu, aż do szalonych wi-

---

ści kraju, z taką energją przeprowadzającemu kontrolę nad matactwem i fuszerką lekarską i ujęciem w karby nadużyć felczerskich. Uzyskał on obecnie pozwolenie władzy i zebrał do siebie kolegów na pierwsze wstępne posiedzenie. Postanowiono zbierać się co dwa tygodnie, coraz u innego kolegi, w porządku alfabetycznym, komunikować sobie ważniejsze spostrzeżenia, z praktyki lekarskiej i składać sprawozdania z czasopism medycznych; zaproszono też do towarzystwa jednego z aptekarzy p. Henryka Frick, zdolnego farmaceutę, który zobowiązał się dawać sprawozdania z postępów chemii i farmacyi. Ponieważ jednak zbieranie się w domach prywatnych przedstawiało pewne niedogodności, przeto postanowiono w r. b. zbierać się w resursie. Protokóły takich posiedzeń ogłosiła już *Gazeta Lekarska*.. W Król. Pol. nie pierwsze to zjawisko, zawiązania się Towarzystw lekarskich, na prowincyi, już w r. 1859 myślano o tem w Petrokowie, z powodu inicyjatywy danej przez Dra Szancera, w Lublinie zawiązało się podobne towarzystwo, pod przewodnictwem ś. p. Dra Krzyżanowskiego. Wypadki jednak 1861—64 r. rozchwiały takowe.

* * *

W Nr. 109 *Gazety Polskiéj* znajduje się artykulik p. *Wacława Aleksandra Maciejowskiego*, w dziale zatytułowanym: *literatura, biblijografija* i *krytyka*. Przedmiotem sprawozdania mają być trzy prace: 1. „Praktyczne stanowisko niewiast polskich“ przez Władysława Chomętowskiego; 2. rękopism tegoż p. t. „Synowie Hetmana;“ 3. „O starodawnych prawa polskiego pomnikach“ Helcla. Cóż znajdujemy w rzeczywistości? O pierwszéj broszurze, któréj tytuł przekręcono, jak się czytelnik z *Biblijoteczki domowéj* dowie, słyszymy z podziwem zdanie, że „wątek do obrazu praktyczne stanowisko niewiast polskich w *czternastym* i *piętnastym* wieku przedstawiającego, wziął p. Ch. z prawa polskiego“ i t. d. Broszura, o któréj mowa, nie *przedstawia wcale* praktycznego stanowiska kobiet naszych z wymienionych tu wieków, ale przeciwnie tylko z *szesnastego, siedemnastego* i *osiemnastego*. O dziele Helcla ma autor napisać osobną rozprawę, tu więc zwraca tylko uwagę na tę okoliczność, że nowo-odkryte źródła i dokumenty musiały z konieczności wpłynąć na obfitszą w szczegóły treść tego dzieła w porównaniu z pracą samego p. Maciejowskiego, przed trzydziestu laty wydaną. Najwięcéj atoli miejsca zajmuje rozwodzenie się nad tém, że dotąd żaden z powieściopisarzów nie przedstawił treści dziejowéj w całéj jéj prawdzie, że kazali oni postaciom z grobu wywołanym niby to historyczne *gadać*; ale gruntu psychicznego i zewnętrznych jego objawów niż potrafili uchwycić. Jedyny wyjątek stanowiła dawniéj *Klementyna Hoffmanowa*, która korzystając z pracy autora, dała w „Janie Kochanowskim“ gotowy wzór do naśladowania. Teraz zaś takiem dziełem ma być praca pana Chomętowskiego p. t. *Synowie Hetmana*,“ którą p. M. czytając w *rękopiśmie* nie mógł wyjść z podziwu. Obejmuje ona koniec panowania króla Jana III i początek Augusta II. Rękopism ten wedle pana Maciejowskiego ma być zapowiedzią „wieszcza boskiem ogrzanego natchnieniem,“ który wyśpiewa przeszłość głosem dla tłumów zrozumiałym i w „czarowny ubraną wieniec— dostępną dla nas uczyni.“ Nie wydajemy swego zdania ani za ani przeciw dziełu, którego w rękopiśmie czytać nie mieliśmy sposobności; ale nie mogliśmy długo wyjść z podziwu, czytając takie dytyramby na cześć książki niewydanéj i cały artykuł ten, jedynie rękopism mający na celu. Pytaliśmy siebie, czy publiczność nasza naprawdę już taka niedołężna, że nie potrafi ocenić *powieści*, jeżeli jéj *erudyta* jeszcze przed-ukazaniem się na świat nie pochwali? A powtóre czy naprawdę p. Maciejowski nie uznaje zalet historycznéj powieści w utworach: Rzewuskiego i Kaczkowskiego; czy ci powieściopisarze, którzy prawdopodobnie nieczerpali z dzieła pana M., nie istnieją dla uczonego historyka i prawoznawcy i czy od czasu ukazania się „Jana Kochanowskiego“ (1851) aż do „Synów Hetmana“ (18..?) karty historyi literatury żadnym ważniejszym romansem historycznym nie są zapisane? czy też są one tak liche, że ich i wzmiankować nie warto?—Zdaje mi się, że nietylko specyaliści ale i publiczność sama znajdzie na te pytanie dostateczną odpowiedź.

zyj jasnowidzącego—mamy cały szereg złudzeń, których nie trzeba przypisywać przyrodzie, ani jéj nieodmiennym prawom, gdyż obrazy te należą do dziedziny wolnéj, a więc podlegającéj błędom działalności ducha. Potrzeba wielkiéj ostrożności i wielostronnego wykształcenia, żeby duch mógł wyswobodzić się ze wszystkich swoich błędów i całkowicie zapanować nad niemi. Widzenie, w rozległym znaczeniu tego wyrazu, zdaje nam się być rzeczą łatwą, a przecież jest to trudna umiejętność. Powoli tylko uczymy się, którym wiadomościom przynoszonym przez nerwy, należy ufać i podług tego tworzyć swoje wyobrażenia. Nawet uczeni mogą tu błądzić, a błądzą często i to tém częściéj, im mniéj rozumieją gdzie źródła błędu szukać należy. (*d. c. n.*)

Na co najwięcéj zwracać należy uwagę przy kształceniu kobiet? (*)

„Trzeba żeby w umysłach było jasno."

Kwestyja kobieca ciągle jest na porządku dziennym. Najrozmaitsze zdania w téj materyi, wygłaszają zarówno kobiety — jak i mężczyzni. Lecz nie kończy się na wyrazach — są także i czyny. Nowe drogi na tym szerokim świecie stoją otworem dla rodzaju żeńskiego. Kobiety znajdują pomieszczenie tak w handlach — jak i w urzędach, które dawniéj wyłącznie w ręku mężczyzn pozostawały. Emancypacyja coraz szersze przybiera rozmiary. Onato daje wstęp kobietom na wykłady uniwersyteckie — pozwala im kierować się na prawników, doktorów, profesorów; to jest: zdobywać sobie chleb i sławę. Zakłady naukowe sposobią je do domu i świata — czyli do życia rodzinnego i do zawodów publicznych. Nie kształcą ich jednostronnie, udzielając pewnych tylko nauk, ale pamiętają również o tem, by je do właściwych im obowiązków, około gospodarstwa—kuchni—wychowywania dzieci—i t. p. należycie usposobić. Jestto bezwątpienia, kierunek piękny i pożyteczny. Lecz to wszystko nanic się nie przyda — póki kobietom zbywać będzie na: *jasnym — trzeźwym i rozsądnym sposobie myślenia.*

Często słyszeć się daje zdanie — że „Kobieta, kształcąc rozum — traci serce." Naturalnie, — jeśli uczucie w sercach kobiet prawie zawsze silniejszem jest niż jasny pogląd — to nic dziwnego, że ono kieruje postanowieniami i czynnościami niewieściego umysłu. Ale gdyby ich umysł był wszechstronnie rozwinięty — a przekonania ustalone i silne — to rozum nadałby tylko ich uczuciom więcéj trzeźwości i rozwagi, niepozwalając im jednak wyprzeć się tak łatwo z granic właściwych.

Skoro niejedna kobieta, przez rozmaite nierozsądne przedsięwzięcia wpadnie w nędzę; gdy inna okaże się, jako ofiara uwiedziona; gdy znów inna przez niewłaściwy wybór w małżeństwie, mimo rad wszelkich, samochcąc zniweczy szczęście swoje; — jeżeli jeszcze inna, wychowując dzieci, z jednéj niedorzeczności wpada w drugą i mimo to, ma się za najlepszą matkę; — albo gdy znów inna, stawszy się niewolnicą wymysłów najgłupszéj mody, w żaden sposób nie daje się odwieść od najwstrętniejszych jéj przepisów; — lub też, gdy się wkradną w pewne kółka niewieście przesądy, zabobony różnego rodzaju, które je największą pokrywają śmiesznością — to przyczyną tego wszystkiego, jest brak jasnego, trzezwego i konsekwentnego myślenia.

Brak ten — niczem zastąpić nie da. Chociażby córki wyższego stanu, uposażone były wiadomościami najróżnorodniejszemi; — choćby je po francusku, po angielsku, jak papugi wyuczono; chociażby je ćwiczono w kunsztach różnego rodzaju — a nawet udoskonalić w nich zdołano — zawsze będzie to tylko blichtr, który dziewczętom równie mało zaszczytu przynosi, jak najnowsza paryska moda — gdy z tem wszystkiem nie łączy się zdrowy rozum. O tak — w wielu razach — wszelkie powierzchownie zaszczepione umiejętności tylko śmiesznością pokryć je mogą—skoro im zbywa na rozsądku. Słowem, przy takim niedostatku, smutną, godną pożałowania rolę odgrywają kobiety. Prawdziwego poglądu na życie nie poważną one nigdy — ani wreszcie nie zaszczepi się w ich umyśle żadna nauka do której jest potrzebnem — ścisłe myslenie.

Z powyższych uwag wynika: iż najświętszym obowiązkiem każdego wychowawcy dziewcząt jest: wszelkiemi możebnemi sposobami skłaniać je do myślenia — nie zaniedbywać niczego, coby córkom naszym, zdrowy pogląd, na to pełne pokus i manowców życie, zapewnić mogło. Tak jest niewątpliwie! — Nadczem zaś głównie wychowawcy zastanawiać się — i co czynić mają — o tem, w krótkich wyrazach niniejszego artykułu mówić będę.

Przedewszystkiem odrzucić powinni wychowawcy fałszywe uprzedzenie: jakoby dziewczęta mniéj uczyć się, mniéj myśleć powinny niż chłopcy. A na nieszczęście, z tem błędnem mniemaniem spotykamy się zbyt często. Dla umysłowego wykształcenia chłopców, niczego się nie zaniedbuje. Umieszczamy ich w najpierwszych zakładach naukowych, zaopatrujemy we wszelkie pomocnicze środki; nieobliczamy wydadków: gdy chodzi o ich naukę. A kiedy idzie o dziewczęta — wtedy wiejską szkółkę — lub co najwyżéj, zwyczajną szkołę małéj jakiéj mieściny, uważamy za dostateczną; bo wszak dziewczęciu dosyć, gdy zna dokładnie roboty ręczne, gospodarskie, kuchenne i t. p. zajęcia. Nie zgrozażto—takie pojącia! Wszak kobieta, jako matka, ma wychowywać dzieci, — a znaczy to trochę więcéj, jak papką zapełniać im usta — ona ma wytknąć ich duchową drogę życia, wszczepić zasady, które stanowić będą ich potęgę—udzielić niejako pierwsze namaszczenie na drogę żywota — ona ma, że tak powiem, pierwsze zarysy charekteru w duszy ich nakreślić; czyż do tego nie potrzeba jasnego i zdrowego rozumu?... *Schleiden* ma słuszność, gdy mówi: „Chociażby to zakrawało na paradoks — zrobić jednak muszę zapytanie: czy nie lepiéjby wyszła na tem ludzkość, gdyby wszystkie te tysiączne środki, na jakie wysilamy się, wychowując chłopców i młodzieńców, wyłącznie dla ukształcenia płci niewieściéj, to jest dla przyszłych matek poświęcono?" Czyżby wtedy i gospogarstwo nie zyskało, gdyby nim kierowała kobieta ukształcona, zamiast ograniczonéj — lub niedowarzonéj? Słowem, to błędne mniemanie, że dziewczęta mniéj potrzebują nauki, że nawet ukształcenie wyższe szkodzi im — *zgubnem jest, i usuniętem być powinno.*

Z przekoniem tem łączy się inna jeszcze równie fałszywa zasada: że dziewczętom wszystko uprzyjemniać trzeba. Z tego powodu starają się, każdą naukę osłodzić, we wszystkich przedmiotach naukowych, ukazują tylko stronę przyjemną. Z historyi wybierają tylko anegdotki i więcéj zajmujące zdarzenia. Przy wykładzie religii, przez liczne opowiadania, działają na wyobraźnią i serce, zamiast pracą wzmacniać siły myślenia. Gorzéj jeszcze nieraz, gdy zbyt sentymentalnie biorąc się do rzeczy, przy każdym przemówieniu, ukrywają wszelką gorycz—jestto bowiem najskuteczniejszy sposób, uśpienia niewieściego umysłu i wprowadzenia zupełnego zamętu w sferę uczuć. Chorobliwe też usposobienie umysłu niektórych kobiet z naszych czasów, z tego niewątpliwie wypływa źródła. Chcę tu jeszcze zwrócić szczególną uwagę na pisma corok liczniéj ukazujące się między książkami dla młodzieży, które nietylko pożytku nie przynoszą, ale owszem wyrządzają krzywdę — roznosząc ową moralną truciznę.

Ton tych książek bywa tak słodki, tak żartobliwy — a tymsamym ponętniejszy — a treść tak błaha i nienaturalna, przedstawiająca mięszaninę z wypadków życia nadzwyczajnych albo wprost zmyślonych, które obałamucają młody umysł—przerażają go i prześladując różnemi nieraz widziadłami — rozpalają imaginacyją, wstrząsają nerwy młodych czytelniczek tak dalece, iż zdrowy umysł koniecznie cierpić na tem musi. Takie książki — rozpowszechniają złe między młodemi dziewczętami — i stają się powodem zbyt wczesnego ich dojrzewania i zbyt wczesnego więdnienia. Rodzice więc bacznie czuwać powinni, by córkom swoim takie dawać książki, któreby zasilały ducha, wzmacniały zdrowe myślenie — nie zaś bawiły tylko. Szkoła znów — niech ma na względzie, aby przez zbytnią troskliwość o uczucia dziewcząt, nie nadawać fałszywego kierunku wykładowi nauk. Aby nie pozostawić odłogiem rozumowéj strony ich duszy, lub też nie zrobić z nich łakotnis literackich, czyniąc je niezdolnemi do przyjęcia zdrowego ziarna nauki.

Nie mogę się powstrzymać — od przytoczenia tu trafnych uwag, które Dr. Kimer w swoich *Kwestyach Czasu* zamieścił. „Nie podzielam bynajmniéj mówi on, nieumiejętnego traktowania nauki, które prawdę rozdziela i koślawi, inaczéj ją dla dziewcząt a inacéj dla chłopców przyprawiając. Taką igraszkę naukową, spotykamy nawet w książkach do nauki zaleconych. jest ona bardzo niebezpieczną, choć się mile przedstawia. Mają to być np. geografije, w których opisują zwyczaje kobiet, romantyczne doliny i zacisza leśne, gdzie się nieprzebija ani duch przyrody, ani niesłychać codziennego gwaru życia, jakby ten świat boży — był tylko *krainą marzeń i uczuciowości!* — W historyi wyszukują tylko „przyjemnostek" — jak się wyraził Winkelman, — wojowniczym chłopcom, pozostawiają ich Aleksandrów i Napoleonów; dziewczętom zaś chciwym nauki — dość będzie dać poznać heroiny pani Stael, jak gdyby Bóg osobne dzieje dla serc niewieścich utworzył. Z botaniki wolno im znać najpiękniejsze tylko kwiaty, jakgdyby dęby i krzewy dla chłopców tylko istniały. Oddzielną literaturę tworzą dla szkół żeńskich, dla nich wybierają z poezyi najtkliwsze i najpieszczotliwsze wyrazy, — jakby nauczyciel miał być cenzorem potężnego ducha literatury narodowéj; a ponieważ wszystko — co ckliwe i mdłe łatwo przesyca, wyszukują więc coraz tkliwszych środków, cofają się do rzeczy przestarzałych, co znowu jako zbyt poważny niewłaściwy wiekowi pokarm, przytępia smak, pozostawiając jedynie wrażliwość na drażniące nerwy romanse Suego."

„Gotowiwiby nawet słowo boże przerabiać umyślnie dla dziewcząt — wygładzać surowe pokuty — zmieniać tajemnice objawienia — otaczając je gęstszą jeszcze zasłoną skromności, ująć ich serce jak najdelikatniejszemi pa-

(*) Artykuł ten jest przekładem rozdziału z książki D-ra Karola Piltza profesora z Lipska, p. t. Pedagogische Blüthen. Z rozdziału tego korzystał p. August Jeske, pisząc artykuł p. t. „Wychowanie kobiet" pomieszczony w 28 Nr. *Wieńca.*

luszkami — jakby tym sposobem uniknąć było można twardéj dłoni życia."

Nie jest to umiejętne traktowanie rzeczy— co gorsza — tym sposobem tamuje się postęp kobiet w naukach, czyniąc dla nich obcą oświatę powszechną. Potępiam otwarcie - zasady tego rodzaju — a natomiast domagam się, ażeby wszelkie naukowe przedmioty — wykładane były uczennicom w ich własnem świetle, z całą prawdą i powagą — z właściwą tym przedmiotom szorstkością czy też delikatnością—cierpkością—lub też słodyczą. Czy zaś te rzeczy inaczéj odbiją się w sercach niewieścich niż w głowach męzkich — to już sprawa saméj natury." *D. n.*

ZAPISKI

z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(Dalszy ciąg).

Lipsk pod względem ochędówstwa i przepychu nie może pójść w porównanie z Dreznem. Tylko w czasie jesiennego jarmarku zamienia się on w olbrzymie targowisko, napełnione budami, tragami i wózkami, pomiędzy którémi cisną się przechodnie, i gdzie kupczyki pokazują towary i zgarniają monetę.

Ciekawy to jarmark! Tam Grek w białéj tunice rozprawia z Turkiem w zawoju, Prusak z Francuzem—jak na maskaradzie. Tu na wyniesieniu z tarcic hałasuje cała rodzina skoczków, zwołujących na wspólne widowisko, pies im bębni na tamburynie, a kucyk wybija takt kopytem i strzyże uszkami. Tam angielskie „*Yes*"—francuzkie „*oui, oui!*"— owdzie „*Herr Gott!*" słyszeć się daje.

Rzekłbyś, że to walny sejm ludów, które z postępem cywilizacyi zbratały się przecież ogniwem miłości i zgody.

Gdzie tam! Wszystko to ugania się za groszem—to tylko żółty kruszec łączy ich dzisiaj, a jutro znowu za łby się pobiorą.

Nagle ujrzałem się koło kramów tandeciarzy.

Znowu Jerozolima! równouprawnieni echt-obywatele, panowie faktorzy! To Pociejów warszawski, kto go sobie przypomina.....

Domy przylepione jeden do drugiego piętrzą się wysoko, w oknach suszą cerowane pończochy i widać gdzieniegdzie z za szybki gęstowłose żydóweczki. Chichoczą i zakąsują makagigi, a twarze rekomendują je, że ta jest Ryfka Lejzur, a tamta na wydaniu Roche Szmul, chociaż jakby dzieci jednéj matki— zresztą udatne, jak inne kobiety.

Cały ten okrąg składa jakby jedną bóżnicę, któréj brakuje tylko wspólnego dachu. Do koła wiszą przechodzone i nowe różnéj barwy suknie i futerka, buty i rubiecie tandeciarskie — pode drzwiami sklepów stoją skrzynie z zardzewiałem żelaztwem, ułamkami mosiądzu, i t. p.—a wszędzie *szwar, szwar! haru, haru!*—przytem odór czosnku i cébuli.

Uciekam stamtąd—mijam różne zaułki i ulice w téj siedzibie pokolenia Merkurego, aż na jednéj z kamienic schludnych, bez żadnéj w oknach wystawy, uderza mię napis nad bramą: „*F. A. Brockhaus.*"

Wchodzę w podwórze.

Pod skromną firmą jednego z najbardziéj renomowanych księgarzy na kuli ziemskiéj, ujrzy tam wędrowiec rozległy gmach, którego rozmiarów nie można dojrzeć z frontu. Gmach ten składa się z kilku kwadratowych dziedzińców, otoczonych piętrowemi oficynami. Z jego cegieł możnaby zbudować osobne małe miasteczko.

Na dziedzińcu leżą paki, mające odbyć przejażdżkę do różnych części świata.

Oficyny są zajęte drukarniami, introligatornią, składami książek, z których jedne spoczywają w stosach arkuszy, nakształt filarów czworogrannych z białego marmuru, drugie gotowe do drogi ukazują się z szaf, niby rozumy oprawne w angielskie płótno, z pozłotą na wierzchu.

W głównym korpusie mieszczą się biura wydziałów zakładu, dającego zatrudnienie około pięciuset rozmaitym robotnikom.

Zakład istnieje od r. 1805; utrzymuje niektórych współpracowników, jak profesorów, encyklopedystów, na stałéj pensyi i wydaje kolekcyje dzieł wyborowych, we wszystkich niemal europejskich językach.

Rodzinę Brockhausów można nazwać *arystokracyją pracy*.

Wydawnictwo „Biblioteki pisarzy polskich" rozpoczęte w 1860 roku, obejmuje już przeszło sześćdziesiąt tomów.

Plan tego wydawnictwa podał Brockhausowi zajmujący się przy nim wydziałem słowiańskim pomocnik p. *E. Ł. Kasprowicz*, Krakowianin, i wprowadził go bezpośrednio w wykonanie.

Zwiedzając ów pouczający zakład, patrząc na obrót kół i walców drukarskiéj prasy, zdumiewać się przychodzi nad procesem komunikacyi myśli ludzkiéj.

Myśl zamknięta w ciele pierwowzoru człowieka, słaba, nie pewna siebie saméj, poczęła się pierwiastkowo objawiać niewyraźnym dźwiękiem, jako wyraz ograniczonego umysłu, zanim parta potrzebą łączności z myślą bliźniego, zamieniła się w żywe *słowo*.

Lecz głos nie wystarczał do jéj rozpowszechnienia w miarę zawiązywania się towarzystwa, w miarę jak mówca znajdował coraz więcéj słuchaczy, filozof uczniów, a kapłan wiernych swéj nauce.

Wtedy myśl lekka, eteryczna, zdobywa sobie obszerniejszy zakres działania, osiadając w widomych znakach na liściach *papyrusu*, skąd przenosi się na mieszkanie do skrętków pargaminowych.

A tak słowo wyzwolone z ust, przeistoczone w pismo, przechodzi z miejsca na miejsce, z rąk do rąk, odbija się tysiącznem echem najprzód o tabliczki woskowe pod *stylem* pierwotnych pismaków, a potem o pargaminy pod piórem Benedyktynów.

Cierpliwy papyrus przyjął tedy najpierwsze zwierzenia się człowieka, pomysły jego mózgu i tajemnice serca—stał się nawet atomem reakcyjnym, wiernym oddziaływaczem na społeczeństwo, tak, jak gdyby sam żył i zdawał sobie rachunek ze swego szczytnego przeznaczenia.

Aż na raz zjawia się Guttenberg!

Śmiały ów cyklop roztapia ołów i każe mu szerzyć oświatę hurtem po całéj planecie.

Wiedza—dzięki pokornym czcionkom—staje się karmem powszednim.

Książka jest to bogaty relikwiarz wszechwiedzy rodu ludzkiego. Porzuciła ona już kryjówki zakonów i pałaców, przeciska się w różnych formach do dworków mieszczańskich, do chat wieśniaczych, do komórki dziennego wyrobnika, do warsztatów i na poddasza; widać jéj karty w rękach dorożkarzy i posługaczy brukowych.

I wszędzie, jak Opatrzność, sieje oświatę.

Literatura, ta rozmowa myśli, jest tak subtelną, iż umie przechodzić niepostrzeżenie z jednego miejsca na drugie.

Nie od dziś dnia spostrzegamy i u nas to zjawisko.

Niegdyś warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk było ogniskiem myśli. Od niego zapaliły swe pochodnie Wilno i Krzemieniec, współubiegając się z sobą na korzyść światła przez lat blisko trzydzieści.

Po nich ożywia się Poznań, Kraków i Lwów, i światło znowu wraca do Warszawy.

Lipsk zaś przypatruje im się tylko, stojąc na uboczu, jakoby warownia z rezerwą książkową.

Przyszło bowiem do tego, że już nie akademije, nie stowarzyszenia uczonych, nie klasztory, ani biblioteki możnowładców—lecz wydawcy i księgarze utrzymują życie piśmiennictwa. *(D. c. n.)*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i elekcyja króla Henryka przez Tadeusza Pilińskiego. Kraków, str. 112.

Monografija ta jest zwięzłem i treściwem opartem częstokroć na źródłach rękopiśmiennych opowiedzeniem wypadków, jakie zaszły po śmierci ostatniego z Jagiellonów. Składa się z 6 rozdziałów, których najogólniejsza treść jest następna: W rozdziale 1-m rozwija autor obraz ówczesnego położenia kraju pod tym mianowicie względem, że wszedł on w nową fazę swego rozwoju, mając wykonać faktycznie i rzeczywiście to, co było dawniéj za Piastów i Jagiellonów formalnością tylko, t. j. miał sam dobrowolnie wybrać sobie króla. Ztąd w krótkim ustępie (str. 8 — 11) pan P. określa bliżéj znaczenie u nas praw dziedzictwa tronu, następnie streszcza w krótkości rozwój swobód szlacheckich i wzrost stopniowy wpływu izby poselskiéj (17 — 21). Rozdział II obejmuje opis zabiegów Firleja, marszałka koronnego i prymasa Uchańskiego o pochwycenie steru państwa. W następnym (37—55) przedstawia pan P. zabiegi rozmaitych mocarstw (mianowicie austryjackiego, francuzkiego i szwedzkiego) o przeprowadzeniu kandydatury jednego z owych przedstawicieli. Rozdział IV (55 — 71) opisuje *konwokacyją* warszawską (wyraz po raz pierwszy użyty w znaczeniu urzędowem), na któréj Jan Zamojski, tłomacząc stosownie do okoliczności prawo z roku 1530 o konieczności zgodzenia się obu stanów: senatu i rycerstwa, podniósł znaczenie drobnéj szlachty, któ ra odtąd miała tak poważny, a w końcu tak fatalny wywrzeć wpływ na losy naszego kraju. Na téj konwokacyi roztrząsano między innemi i sprawę reformy; większość domagała się równouprawnienia, duchowni nie mogli wzywać pomocy świeckiego ramienia. Wypracowanie tego projektu było dziełem tak zwanéj *konfederacyi*; biskupi oprócz *Krasińskiego* (bisk. krakow.) nie chcieli go podpisać, uważając akt ten za sprzeniewierzenie się kościołowi. W rozdziale V (71—96) daje obraz działań *sejmu elekcyjnego*, kiedy każdy z posłów zagranicznych wraz z legatem papiezkim wypowiedzieli owe mowy, w których starali się zalecić swoich kandydatów, kazano im ustąpić z pola elekcyi, a przystąpiono nie wprost do obrad nad zdecydowaniem wyboru, ale do przejrzenia sprawy, która wszystkich niezmiernie wiele obchodziła, t. j. do tak zwanéj *korektury praw*. Już i dawniéj robiono pod tym względem nader liczne usiłowania, dążące do pogodzenia przywilejów i ustaw pojedynczych, częstokroć z sobą sprzecznych; ale potwierdzenia tych praw poprawionych nigdy nie można było uzyskać. Z drugiéj strony szlachta dbała o swe prerogatywy u każdego króla wyjednywa jakieś ulgi dla siebie i ograniczenia władzy królewskiéj. Najważniejszą było rzeczą podniesienie przywileju króla Aleksandra z roku 1501, który miał głównie na celu niedopuścić do samowolnych wyroków, bronić praw poddanych w zajściach i procesach z królem i wyrok królewski zastosować do

zdania większości przybocznéj rady senatorów. Oprócz tego przywiléj ów ogranicza dawne prawo królewskie co do rozdawania urzędów i godności podług woli własnéj i stanowi, że nadal rozdawane być mają po stałéj kolei i po starszeństwie stopni. Najważniejszym zaś był artykuł, uwalniający poddanych od przysięgi, jeżeliby król nie chciał wymierzyć komuś sprawiedliwości lub przedsiębrał cokolwiek przeciwko dobru ogólnemu. Wznowienie tego przywileju, dodanie innych artykułów, mianowicie tyczących się załatwienia spraw religijnych, złożyły się na wytworzenie sławnych *paktów konwentów*, t. j. dobrowolnéj z królem ugody. Rozdział VI (96—112) opisuje wybór Henryka, wznowienie kwestyi *konfederacyi* warszawskiéj, domagającéj się załatwienia spraw religijnych, ustąpienie ku Grochowu, pojednanie wreszcie obu obozów i zaprzysiężenie przez Montluc'a paktów konwentów. Znaczenie opisywanego bezkrólewia określa pan P. w ten sposób: „Niezmierna ważność historyczna tego bezkrólewia nie leży w tém, jakoby ono zupełnie coś nowego było postawiło; że rozszerzyło, *sformułowało* i do *prawa pospolitego* wciągnęło to, co dotychczas było nieokreślonem, chwiejącem i przypadkowem — że oderwane fakta podniosło do godności prawa (str. 86)." Mowa tu jest o owéj *ugodzie*, kontrakcie z królem, który jest charakterystyką naszych dziejów. Zostawiając specyjalistom krytyczną ocenę szczegółów téj broszurki, nie możemy jednak nie wyrazić swego zdania o trzeźwości i jasności poglądów autora, o unikaniu zbytecznych drobiazgów i popisywania się z erudycyją, co czyni ją ze wszech miar godną czytania. Pisana jest językiem gładkim, poprawnym, z domieszką tylko niektórych prowincyjonalizmów, z których uderza najwięcéj wyrażenie *jakieby* zamiast *jak gdyby*, bardzo często używane. *P. Ch.*

Podręczna encyklopedyja handlowa, wydana staraniem Redakcyi „Gazety Handlowéj". Zeszyt I, 1872 roku.

Handel jako najpowszechniejsza forma wymiany, jest bez zaprzeczenia jednym z najpotężniejszych czynników życia społecznego. Wzrastając i rozgałęziając się równolegle z postępem ogólnéj kultury, przenikając prawie wszystkie życiowe objawy i stosunki, handel bardzo często może być wśród danych społeczeństw miarą ich cywilizacyi, a przynajmniéj wiernem odbiciem jéj stopnia i kierunku. To też widzimy, że narody przodujące na polu oświaty i ekonomicznego dobrobytu oparły swe stosunki handlowe na operacyach wyrozumowanych i wytworzyły poważny stan kupiecki, imponujący zarówno siłą kapitału. jak nieposlednią intelligencyją. Przeciwnie, tam gdzie ogólny rozwój kultury pozostał w zacofaniu, tam i kupiectwo nie wyszło z granic zwyczajnego kramarstwa nie ma podstaw dość silnych do wyswobodzenia się z pod nacisku zagranicznéj konkurencyi, a nawet w załatwieniu drobniejszych interesów nie potrafi wyszlachetnić swych zysków drogą rozumnéj uczciwéj i prawdziwie pożytecznéj pracy. Jak wszędzie tak i w handlu prócz praktycznéj strony zajęcia i właśnie dla jéj użytku, potrzebną jest znajomość teoretycznych zasad i wiadomości, któreby podnosząc poziom specyjalnego wykształcenia mogły tem samém służyć za wskazówki do do dalszéj ciągle doskonalącéj się działalności. Nasza literatura ubogą jest w dzieła tego rodzaju, dla tego z prawdziwą przyjemnością witamy nowe wydawnictwo p. t. „*Podręczna Encyklopedyja handlowa.*" O ile wnosić można z prospektu, książka ta w sposób organiczny zawrze w sobie wszystkie najpotrzebniejsze dla stanu handlowego wiadomości. Prócz historyi handlu, traktaty o ekonomicznem jego znaczeniu i kupiectwie, znajdziemy tam towaroznawstwo, rzecz o środkach wymiany, rynku pieniężnym, monetach, miarach,— daléj o handlu świata, kommunikacyjach i środkach popierania i rozwoju handlu. Jeografija handlowa, praktyka kantorowa i terminologija wraz ze skorowidzami i tabelami dopełnia reszty. Dotąd w zeszycie I jako wypełnienie działu I-go znajdujemy krótko zebraną, treściwą historyją handlu poczynając od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnéj. Jako dodatek a raczéj uzupełnienie téj części, przemysł i handel polski opracowany jest tutaj oddzielnie podług dzieła Tabomira p. t. *Geografija i statystyka ziem dawnéj Polski.* W rozdziale poświęconym handlowi Rossyi pomieszczone są za ostatni lat dziesiątek ciekawe i pouczające cyfry wywiezionych i przywiezionych towarów, a to podług urzędowych handlowych wykazów doprowadzonych do roku 1870 włącznie. Rozpoczęty dział II p. t. „Ekonomiczne znaczenie handlu" zawiera w sobie dotąd rzecz o istocie i zadaniu handlu, daléj o kapitale, pracy i jéj podziale, wreszcie o tworzeniu się kapitału, o wartości i cenie, nabyciu i sprzedaży, nakoniec o współzawodnictwie i spekulacyi. Po wyjściu całego dzieła nie omieszkamy podać o niém szczegółowego sprawozdania, w kolei zaś wychodzących zeszytów ograniczymy się zawiadomieniem o ich treści i zakresie. *J. M. K.*

ROZMAITOŚCI.

Pisma codzienne podały wiadomość osmutnym wypadku jaki miał miejsce we wsi Czerniakowie. Młoda osoba ratując siostry kąpiące się w tameczném jeziorze, natrafiła na głębinę i pomimo usiłowań udzielenia jéj ratunku—utonęła. Czy w miejscu tak licznie uczęszczanem przez warszawską, zatem obcą — i miejscowości dokładnie nie znającą publiczność nie powinnaby się znajdować tablica ze stosownem ostrzeżeniem? Pod tym względem **niedbalstwo zarządu gminnego** nie da się niczém usprawiedliwić.

* * *

„St. Peterb. Wied." powzięły wiadomość o nowym projekcie **postępowania sądowego przeciw przestępcom politycznym**, który w krótkim czasie przedstawiony być ma Radzie Państwa do rozpoznania. Powiadają, że dla spraw tego rodzaju, pociągających za sobą pozbawienie praw stanu, ustanowioną będzie wyłączna instancyja, złożona z senatorów, do składu któréj wchodzić też będą przedstawiciele stanów (marszałkowie szlachty, gubernijalny i powiatowy, przezydent miasta i sołtysi). Wyroki téj instancyi nie będą uważać się za ostatecznie rozstrzygające sprawę, i można będzie zanosić od nich appelacyje do ogólnych zebrań departamentów kasacyjnych Senatu. Są również projektowane niektóre zmiany w sposobie oddawania pod sąd, który jak słychać, uledz ma znacznemu uproszczeniu.

Podług „St. Peterb. Wied." w jednym z uprzywilijowanych zakładów naukowych w Petersburgu, dokonano rewizyi medycznéj wszystkich wychowańców, i znaleziono bardzo znaczną ilość nieprawidłowego skrzywienia (wygięcia) kości pacierzowej. Protokół tej rewizyi oddano oddzielnéj komissyi, złożonéj z medyków i nauczycieli, celem bliższego zbadania przyczyn wygięcia kości pacierzowéj u uczącéj się młodzieży. Oddawna już uczeni i medycy podnosili tęk westyę, dowodząc, że we wszystkich u nas zakładach naukowych **meble szkolne** są źle i niepraktycznie urządzone. Najszczegółowiej kwestyę tę trak tował Dr. Eresmann, który cyframi dowodził w jakim stosunku mogą się zdarzać wykrzywienia kości pacierzowej u młodzieży, skutkiem złych ławek i stołów, dla zakładów prywatnych i publicznych. Proponował on wzory swoje do urządzenia nowego sposobu, który, podług zapewnień specyjalistów, ma być bardzo praktyczny i celowi odpowiedni.

* * *

Wkrótce rozpocznie się druk „**Historyi literatury Polskiéj**" profesora Antoniego Małeckiego.

ZAGADNIENIA.

— Odpowiedź na zagadnienie I-e. (*spóźniona*).

— „Książki dla dzieci bywają moralne i naukowe.

Kto chce jaką prawdę moralną lub cnotę wpoić w młode serca, powinien sam pierwéj ukochać ją sercem całem i praktykować w życiu.

Kto chce jaką naukę głęboką i trudną dziecinnemu umysłowi zrobić przystępną, powinien sam tę naukę posiąść gruntownie, najdrobniejsze jéj szczegóły zapamiętać i ogół jéj objąć jedną myślą.

W dziedzinie téj nauki powinien być jak w domu własnym, w którym zna się doskonale każdy zakątek. To są najpierwsze warunki. Następnie, do pisania powiastek dla dzieci, podobnie jak i dla dorosłych, potrzebnym jest talent i znajomość serca ludzkiego. Bez tego, morały będą nudne, opowiadanie naukowe suche, a przy ziewaniu niczego się dzieci nie nauczą i do niczego zamiłowania nie poczują.

— Warunki trudne i rzadko kiedy dopełniane! To też i książki dla dzieci rzadko osiągają cel wychowawczy.

Zdarza się, że kobiety wcale nie uczone, dobrze piszą moralne powiastki dla dzieci. Dzieje się to po części dla tego że je kochają, że znając je dobrze, w każdéj chwili instynktem zgadują jak przemawiać do nich należy— ale i to zauważyć trzeba, że są to matki i nauczycielki, które nie tylko dzieci kochają ale i te prawdy, które im wpoić pragną.

Jeżeli trafi się oświecony mężczyzna, — ojciec, znający swe dzieci,—lepiej od kobiety napisze popularną naukową książkę; bo jeszcze rzadkością jest u nas kobieta gruntownie naukowo-ukształcona, a jeszcze większą rzadkością —milująca naukę."

— Odpowiedź na zagadnienie III-e.

— „Przypatrując się zabawom i rozwijaniu małych dzieci, widzimy w nich już ludzi: też same co my mają popędy, skłonności, namiętności nawet. Ale są to jakby przybysze z obcego świata; potrzebują nauczyć się tutejszej mowy i zwyczajów, aby się w nich cała natura ludzka objawiła. Oswoić ich więc z tym naszym światem; pokazać im na nim dalsze drogi i ścieżki, nauczyć unikać miejsc niebezpiecznych, zaznajomić z warunkami życia jakieśmy tu sobie urządzili, stwierdzić nasze nauki przykładami czerpanemi z przeszłości danego społeczeństwa —to jest mniej więcej zadanie Pedagogiki —a cel jej główny polega na tem, ażeby wpoić w umysł wychowańca przekonanie *o korzyści zrzeczenia się samolubstwa indywidualnego na rzecz ogólnego dobra ludzkości.* Środki do tego użyte mogą być mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej zdolne uszlachetnić człowieka i od zwierząt go wyróżnić — ale cel wychowawczej pracy zdaje mi się ten najgłówniejszy, bodaj czy nie jedyny. *F. K.*

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

☛ Patrz Dodatek.